

Operowa celebracja

Recenzja „Prometeusza” w Warszawskiej Operze Kameralnej

Specyficzna to forma widowiska, opera kameralna. Skromna w zamierzeniach, wstrzemięźliwa w pretensjach... I w tym tkwi cała jej siła, cała jej wyjątkowość. W pełni przeznaczona dla tych, którzy chcą wybrać się „na operę”, a nie „do opery”. Nie pokażemy swoją na niej obecności wyjątkowego wysublimowania, nonszalancji wręcz. Ale uzyskamy za to szansę, by wczuć się w spektakl prawdziwie, pojąc go wraz z całą warstwą wokalnno-muzyczną... a nawet, choć może to zabrzmieć dziwnie, tę formę polubić.

„Prometeusz”, oparty na oryginalnej tragedii Ajschylosa, zaś opracowany zaś przez kompozytorkę Bernadettę Matuszczak, jest nie jest operą zbyt długą ani zbyt prostą w treści. Skutecznie broni się przed pretensjonalnością romantycznych XIX-wiecznych oper. Więcej jest tu rozważań o fatum, filozoficznych odwołań do greckiej mitologii i antycznego sposobu postrzegania świata. Całość ubrana w wokalną i orkiestrową szatę przybiera postać starożytny dramat uatrakcyjniająca. Nie sposób wyzbyc się tu wrażenia odwołań do utraconych, autentycznych ich wykonań, w formie dźwięcznych i oprawnych celebracji.

Jak z zadaniem zaprezentowania tego wszystkiego poradził sobie zespół Warszawskiej Opery Kameralnej? Najkrócej odpowiedzieć można – klasycznie. I bardzo dobrze, bo obronił się tym samym przed notoryczną obecnie manierą współczesniania, przeobrażania na siłę tego, co na nadmiernej modyfikacji więcej traci, niż zyskuje.

Nie znaczy to, że wszystko jest tu statyczne lub konwencjonalne. Owszem, wystąpiący bogów zstępują z wysokości, w dłoniach dźwierzają zaś akcesoria już od wieków im literacko przypisane. Prometeusz, przykuty do skały, stanowi centralny punkt scenografii – jakby na antycznym ołtarzu jakiś specyficzny substytut tabernakulum. Okryty kamieniami, z krwawiącą wątrobą, ma klasycznie grecką posturę, szaty, brodę nawet. Nie stoi jednak pasywnie. Targany emocjami walczy duchowo z tym, co nachodzi spokój jego cierpienia i zniewolenia - personalizowanych tu ruchami przystrojonych na ciemno mimów. Chór, antynomicznie podzielony na dwie części – męską, lojalną wobec Zeusa oraz współczującą żeńską – nie komentuje jedynie zdarzeń, ale jest ich czynnym uczestnikiem, tak jak i jego Przodowniczka. Wciąż jednak zachowana jest zasada jedności w liczbie pierwszoplanowych bohaterów na scenie.

To, co wyróżnia każde z wykonań operowych – oprawa muzyczna – stoi na dobrym i dostosowanym do uszu większości słuchaczy poziomie. Na pierwszy plan wybija się tu oczywiście doskonały wokal występującego w tytułowej roli Dariusza Górskiego. Chór grecki jest chórem w pełnym tego słowa znaczeniu: konstruuje akcje nie tylko słowami, ale i tembrem głosu, modulacyjnym śpiewem, szeptem. Pierwotny dramatyzm potęgowany jest jeszcze przez grę orkiestry, szybko i na stałe wpadającą w tło inscenizacji.

Wszystko to – wraz z aktywną, jak na operę, grą sceniczną oraz brakiem tak groźnych dla gatunku dłużyżn – czyni z „Prometeusza” spektakl niewątpliwie dobry. I – co więcej – potrafiący mniej z operą obeznanym widzów zaintrygować i szczerze nią zainteresować.

Marek Skrzetuski